STYCZEŃ-LUTY 1947
ROK VIII Nr. 1-2
(176/7)

Cena 9D

CO SŁYCHAĆ

TREŚĆ:

1. Co Słychać...
2. 1947 czy 1955?
3. Skandal w Norwegii.
4. W czerwonej sieci.
5. Niewinny twórca Trzeciej Rzeszy.
6. Powrót klasyków.
7. Oto jest pytanie.
8. Anglicy o sobie.
9. Dyskusje na wesoło.
10. Przez dziurkę w żelaznej kurtynie.
11. Pamiętaj...
12. Książki nadesłane.
13. Od mandragory do chloroformu.
14. Świat się śmieje!
15. Wycinanki.

OTO JEST ODPOWIEDŹ

1. Arystoteles.
2. W bitwie pod Cambrais we Francji 20 — 29 listopada 1917 r.
3. Stare słowo celtyckie, które oznaczało okrzyk wojenny.
4. a) i b) Franciszek Karpiński (1741 — 1825), c) Kornel Ujejski i Józef Nikorowicz w Zboiskach pod Lwowem w r. 1846.
5. Sir (Paul) Paweł Strzelecki, podróżnik i odkrywca Australii w okresie wiktoriańskim.
6. Tweed — nazwa rzeki w Szkocji na południe od Edinburgha; Cheviot — pasmo wzgórz w tej samej okolicy znanej z hodowli owiec i słynnych przędzalni wełny.

Co Słychać...

W dniu 1 stycznia 1947 objąłem redakcję miesięcznika streszczeń: „Co słychać".

Pismo to powstało w r. 1940 z inicjatywy rannego we Francji żołnierza naszych wojsk pancernych por. Stefana Kossaka, literata, dziennikarza, entuzjasty rzeczy pięknych i pożytecznych. Pierwszym lokalem redakcyjnym był polski szpital wojskowy w Szkocji; pierwszą drukarnią — powielacz.

Dzisiaj dzięki wysiłkom człowieka dobrej i upartej woli jaką odznacza się Józef Stoliński — do niedawna redaktor, wydawca, administrator, reporter i ekspedient w jednej osobie — „Co Słychać" poszczycić się może znacznym dorobkiem kulturalnym jako jedyny miesięcznik streszczeń, pomyślany na wzór podobnych amerykańskich i brytyjskich „Digestów".

Dokoła pisma zgrupowała się z biegiem lat rzesza wiernych czytelników do których i ja należałem. Miesięcznik ten bowiem wypełniał mi zawsze lukę, wynikającą z prostej niemożliwości stałego obserwowania wszystkich najciekawszych czasopism międzynarodowych czy też — jak ostatnio — wszystkich pism wychodzących w Polsce.

Tyle słów przyjmijcie od dotychczasowego czytelnika tego pisma. A co powie Wam redaktor?

W miarę skromnych możliwości, przy zachowaniu pełnego szacunku dla dorobku moich poprzedników, będę się starał wprowadzić kilka takich zmian, które — jak sądzę — powinny wpłynąć dodatnio na treść, objętość i wygląd zewnętrzny wydawnictwa.

Niezależnie od kontynuowania streszczeń z najciekawszych źródeł światowych pragnę wprowadzić kilka stałych pozycji oryginalnych, opracowanych specjalnie dla miesięcznika. Między innymi:

Wstępny okolicznościowy artykuł od redakcji p.t. „Co słychać".

„Dyskusje na wesoło" (problemy dydaktyczno-obyczajowe na obczyźnie).

„Przez dziurkę w żelaznej kurtynie" (najciekawsze fragmenty z prasy wychodzącej w Polsce).

„Anglicy o sobie".

„Oto jest pytanie" (dział pożytecznych zagadek historycznych, geograficznych, przyrodniczych i literackich).

„Pamiętaj" (rzecz z myślą o zagrabionych polskich Ziemiach Wschodnich).

„Wycinanki" (rozmaitości z różnych dziedzin i różnych krajów).

„Świat się śmieje" (wybrane anegdoty z magazynów międzynarodowych).

Kolumna satyry politycznej kronika literacko-artystyczna i książki nadesłane.

Niektóre z tych pozycji realizujemy już w pierwszym numerze za styczeń i luty b.r.

Kończąc to „expose" redakcyjne deklaruję szczerą wolę dotrzymania obietnic; Was dawnych i wiernych miłośników „Co słychać", oraz, Was, nowych, nieznanych, ale napewno równie życzliwych przyszłych Czytelników i Prenumeratorów — proszę o przyjazne poparcie jako nowy redaktor starego — bo dziś już 8 rok emigracyjny liczącego — polskiego wydawnictwa na obczyźnie.

Wiktor Budzyński.

1947 czy 1955?

Kalendarz, którego obecnie używamy zaczyna liczyć czas od roku narodzenia Chrystusa, dokładna jednak data tego wiekopomnego zdarzenia jest zagadnieniem nad którym długo debatowali znawcy Pisma Świętego i dopiero w ostatnich czasach osiągnięto coś w rodzaju porozumienia w tej kwestii: wedle wyników najnowszych badań od chwili Wcielenia upłynęło nie 1947, ale 1955 lat.

Do ostatnich czasów historycy podawali 3 możliwe daty Narodzenia Pańskiego: 8, 14 i 28 rok przed narodzeniem Chrystusa wedle obecnie obowiązującego kalendarza. Wszystkie te daty wywodzono ze studiów biblijnych oraz badania przekazów historycznych.

W Piśmie św. nie ma nigdzie wzmianki określającej ściśle rok przyjścia na świat Zbawiciela; są natomiast w Ewangeliach wskazówki pozwalające za zacieśnienie kręgu badań do podanych wyżej 3 dat. I tak św. Łukasz przekazał nam, że Chrystus narodził się w czasie spisu ludności, zarządzonego przez cesarza Augusta kiedy Syria znajdowała się pod zarządem gubernatora Cyryna; ewangelia spisana przez św. Mateusza dostarcza dalszego śladu wspominając o narodzeniu Zbawiciela „za dni króla Heroda".

Historyków niepokoił jednak fakt, że za panowania Augusta spis ludności przeprowadzany był trzykrotnie właśnie w latach wyżej wspomnianych. Ale nawet ta wiadomość nie miała dokładnego potwierdzenia.

Teraz dopiero, dzięki wysiłkom archeologów i innych uczonych, udało się określić z zupełną niemal pewnością, że Chrystus narodził się w 8 roku. Fakt ten stwierdzono dzięki odkryciom dokonanym przed kilku laty i to nie na terenie Palestyny, ale... Turcji. Napisy na starożytnych kamieniach, odnalezionych niedaleko Ankary, zawierają wzmianki o spisie ludności przeprowadzonym w 8 r. „przed

Chrystusem" na rozkaz cesarza Augusta. Inne badania dowiodły, że właśnie w tym roku Cyryn był wielkorządcą Syrii, a Herod rządził w Jerozolimie.

W ten sposób ostatni stan badań w tym względzie wskazuje na to, że Chrystus przyszedł na świat lat temu 1955, a używany przez nas kalendarz jest fałszywy. Małe jest jednak prawdopodobieństwo aby błąd ten kiedykolwiek został sprostowany.

(„The Argus Week-end Magazine", Melbourne).

* * *

„Żyjemy w ciekawej epoce, wszyscy mówią o cenach, lecz nikt nie mówi — o wartości. *(Roland Dorgeles).*

— - —

SKANDAL W NORWEGII

Na łamach „World Revue" w kolumnie zatytułowanej: „Thinking aloud" Edward Hulton bardzo surowo ocenia niezrozumiałe, niehumanitarne traktowanie polskich wysiedleńców w Norwegii.

Przeczytajcie uważnie te słowa zanim złożycie wzajemnie sobie i waszym przyjaciołom życzenia pomyślnego nowego roku!

Bardzo przykra sytuacja wytworzyła się w Norwegii, gdzie władze miejscowe, mimo protestów ze strony rozmaitych organizacyj brytyjskich, zajęły niezrozumiale surowe stanowisko wobec polskich wysiedleńców a tym samym wobec podstawowych praw poszanowania godności człowieka.

W chwili kapitulacji Niemiec na terenie Norwegii znalazło się około 16.000 polskich wysiedleńców. Zajęli się nimi polscy oficerowie łącznikowi, przydzieleni do kwatery głównej wojsk brytyjskich w Oslo, organizując specjalne obozy. Wszystko było dobrze tak długo jak długo byli Brytyjczycy; po opuszczeniu przez nich Norwegii wszystkie sprawy dotyczące wysiedleńców zostały przekazane komisji w ministerstwie opieki społecznej. I wtedy zaczęły się dziać rzeczy skandaliczne. Urzędnicy norwescy odmówili uznania najbardziej zasadniczych praw ludzkich, stosując silny nacisk wszelkiego rodzaju, aby wysiedleńców zmusić do powrotu do skomunizowanej Polski. W rezultacie tej presji z liczby 16.000 wysiedleńców powrócili wszyscy — z wyjątkiem 970 osób — uznawszy, że może jednak będzie im lepiej w Polsce niż w tym piekle, które przeżywali w Norwegii.

Rok cały upłynął zanim Norwegowie pozwolili Polakom na przyjęcie jakiegokolwiek zatrudnienia, podczas gdy jeńcy niemieccy uzyskali płatną pracę przed Polakami.

W jednym z obozów pijany komendant norweski wielokrotnie wykrzykiwał wywijając rewolwerem: „Każdą polską świnię zmuszę do powrotu nawet gdybym musiał zastosować terror"; w jednej z takich okazyj postrzelił w nogę Polkę.

Pewnego dnia, w czasie wizyty w obozie dwóch oficerów armii amerykańskiej ów komendant, oficer lotnictwa norweskiego, były jeniec niemiecki, opisując okropności życia w Niemczech usłyszał uwagę majora amerykańskiego: „W takim razie pan powinien chyba wiedzieć jak *nie* należy prowadzić obozu".

W czerwcu ub. roku oficer nadzorujący repatriacji, chciał przemocą odesłać do Polski kilku polskich uczniów, inny oficer oświatowy chciał użyć funduszów przeznaczonych na potrzeby kulturalne na zakup bibuły komunistycznej rządu warszawskiego.

W ostatnich czasach nastąpiła pewna poprawa w życiu wysiedleńców: dano im możność zarobkowania. Ale praca ta ogranicza się niemal wyłącznie do robót rolnych i leśnych do których ze względu na ciężkie warunki i niskie wynagrodzenie trudno zwerbować Norwegów. O ile chodzi o pracę umysłową, trudności stawiane w jej zdobyciu przez władze norweskie przypominają mocno nazistowskie metody ;zdarzały się wypadki zamykania szkół.

Także niedawna decyzja rządu norweskiego dotycząca odesłania do Polski, nawet przemocą, wszystkich tych Polaków, którzy w czasie wojny byli zaciągnięci przymusowo do armii niemieckiej — jest poważnym naruszeniem prawa azylu ; rząd Norwegii przechodzi bowiem do porządku nad tym, że zachodnie połacie Polski zostały wkrótce po zajęciu ich przez Niemców w r. 1939 włączone do Rzeszy — w przeciwstawieniu do t.zw. „Generalnego Gubernatorstwa" — a wszyscy mieszkańcy tych ziem wcielonych traktowani byli jako obywatele niemieccy. To samo zarządzenie pomija również fakt, że wielu spośród tej właśnie kategorii Polaków udzieliło cennych wiadomości i poważnej pomocy norweskiemu ruchowi podziemnemu.

Nie wolno nam zaznać spokoju, nie możemy być szczęśliwi sami, dopóki nie uczynimy wszystkiego co w naszej mocy aby słuszność i prawo zatriumfowały na całym świecie.

* * *

PRZYPOMNIENIE NA CZASIE

„Ribbentrop w chwili śmierci był kawalerem najwyższego sowieckiego orderu Lenina. Order ten otrzymał za podpisanie paktu o nieagresji z jednym ze swoich norymberskich sędziów..."

(World Review.)

„W CZERWONEJ SIECI...“

Igor Guzenko jeden z pięciu urzędników biura szyfrów ambasady sowieckiej w Ottawie, wyszedł z ambasady o godz. 8 wieczorem dnia 5 września 1945, by nigdy już tam nie wrócić.

Praca jego polegała na szyfrowaniu i odszyfrowaniu depesz attache wojskowego, pułk. Żabotina. W ciągu ostatnich kilku tygodni Guzenko znaczył brzegi kartek pewnych ważnych dokumentów, dzięki czemu mógł wybrać je spośród aktów bardzo szybko, gdy zdecydował się wreszcie na ucieczkę. Dokumenty te stwierdzały ponad wszelką wątpliwość, że Kanada stała się terenem obcego wywiadu w sprawach olbrzymiej doniosłości dla Stanów Zjedn. i W. Brytanii — a obywatele kanadyjscy, brytyjscy i amerykańscy pracowali na rzecz Rosji jako płatni agenci.

Po wyjściu z ambasady, Guzenko — z dokumentami w zanadrzu i „z duszą na ramieniu“ — chodził przez całą dobę po Ottawie nie mogąc znaleźć nikogo, z kim by mógł poważnie pomówić.

Najpierw poszedł do pewnej redakcji. Odprawiono go z kwitkiem. Gdy w nocy z niczym wrócił do domu, nie miał najmniejszych wątpliwości, iż nazajutrz, gdy w ambasadzie zauważą, że go nie ma, ruszy w jego tropy cała sfora agentów. Wczesnym rankiem dn. 6 września wyszedł z domu wraz z żoną i dzieckiem i znowu powędrował na poszukiwanie ludzi, którzy by mu zaufali.

Po raz drugi poszedł do redakcji. Skutek był taki sam jak poprzednio. Zaniósł dokumenty do prokuratora państwa. Tu także odprawiono go z niczym. Poszedł do ministra sprawiedliwości. Dopuszczono go tylko do sekretarza. Sekretarz skontaktował się z wiceministrem spraw zagranicznych. Wiceminister poinformował o sprawie premiera Mackenzie Kinga. Premier śpieszył się do parlamentu, gdzie odbyć się miały wybory speakera, kazał więc oświadczyć Guzence, by razem ze swoimi papierami wracał do ambasady.

Tu nastąpiłby epilog sprawy, a także i samego Guzenki, gdyby szczęśliwy traf nie zetknął go z prostymi ludźmi.

Zmęczony i rozgoryczony, po całym dniu daremnych wysiłków, wrócił Guzenko do domu z żoną i dzieckiem, wiedząc, że każdej chwili grozi mu śmierć. — Wyjrzał przez okno. Na ulicy stało dwóch ludzi, obserwując jego mieszkanie. Po chwili zapukano do drzwi. Ktoś żądał by go wpuścić. Mówił po rosyjsku. Guzenko wymknął się na balkon przez tylne wejście. Zadzwonił do sąsiada.

Sąsiad, podoficer kanadyjskiego lotnictwa, który znał Guzenkę tylko z widzenia, taką później o tym spotkaniu złożył relację przed Królewską Komisją: „Guzenko prosił mnie o zaopiekowanie się jego małym synkiem, gdyby zdarzyło się jakieś nieszczęście. Trudno było o tym rozmawiać na balkonie, zaprosiłem więc rodzinę Guzenków

do mieszkania. Tu Guzenko powiedział mi, że Rosjanie chcą zabić jego i żonę, że na wypadek, gdyby mu się rzeczywiście co złego stało, chciałby mieć pewność, iż dziecko będzie w bezpiecznym miejscu pod czyjąś opieką. Po krótkiej naradzie z żoną oświadczyłem Guzence, że postanowiliśmy zaopiekować się jego synkiem".

W tym czasie weszła do mieszkania sąsiadka. Dowiedziawszy się, jak sprawy stoją, zabrała rodzinę Guzenków na noc do siebie, lotnik zaś pojechał rowerem po policję. Policja po rozmowie z Guzenką postanowiła czuwać na ulicy. Gdyby cokolwiek rzeczywiście zaszło, Guzenko miał dać znak, gasząc światło w mieszkaniu sąsiadki. Nie długo trzeba było czekać. Między godz. 11-tą i 12-tą czterech mężczyzn włamało się do mieszkania Guzenki.

Guzenko dał umówiony znak. Policja weszła. Mieszkanie było jasno oświetlone, wszędzie widać było ślady plądrowania. Dwóch włamywaczy nakryto przy robocie, dwóch wyciągnięto z szaf, gdzie próbowali się skryć. Okazało się, że ci nocni goście to — Pawłow, drugi sekretarz ambasady (obecnie kieruje on sowiecką organizacją terorystyczną w Kanadzie), pułk. Rogow, attache lotniczy, por. Angełow z attachatu wojskowego i Farafontow, urzędnik biura szyfrów.

Nie straciwszy tupetu Rosjanie zażądali, by ich wypuścić. Mieli paszporty dyplomatyczne, więc policja zatrzymać ich nie mogła.

Po tym nocnym zajściu sprawa Guzenki nie pozostawiała już dla policji żadnych wątpliwości. Na jego prośbę zawieziono go następnego dnia do Królewskiej Policji Kanadyjskiej, która natychmiast roztoczyła opiekę nad nim i rodziną. Teraz dopiero Guzenko zetknął się z ludźmi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, jak ważne są informacje i dokumenty, dostarczone przez tego Rosjanina.

Policja, nie zwlekając ani chwili, zabrała się do pracy. Skutek był natychmiastowy. Premier Mackenzie King, który dn. 6 września kazał powiedzieć Guzence, by razem z papierami wracał do ambasady, teraz co prędzej wsiada do samolotu i w tajemnicy leci na konferencję z premierem Atlee oraz z prezydentem Trumanem. W przemówieniu, wygłoszonym w pół roku później, dn. 18 marca 1946, oświadczył on w związku z tą podróżą, że uważał wówczas za swój najpilniejszy obowiązek zobaczyć się bezwłocznie z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Musiał poinformować go, że w Kanadzie wykryto ośrodek akcji szpiegowskiej, której skutki mogą być groźne dla Stanów Zjednoczonych. Poza tym otrzymał wiadomość, że pewien obywatel brytyjski, uczony, pracujący w Kanadzie w dziedzinie badań nad energią atomową, leci samolotem do Londynu, gdzie ma się spotkać z agentem obcego mocarstwa.

W związku z dokumentami i informacjami, dostarczonymi przez Guzenkę, utworzono dn. 5 lutego 1946 specjalną komisję królewską, która po 5-miesięcznych dochodzeniach opublikowała raport stwier-

dzający m. in., że ponad 20 kanadyjskich urzędników państwowych i innych osób, cieszących się ogólnym zaufaniem, dostarczało tajnych informacji agentom obcego mocarstwa.

Tu mimowoli nasuwa się refleksja: gdyby Guzenko przypadkowo nie spotkał na swej drodze skromnego kanadyjskiego lotnika, nikt nigdy by się nie dowiedział o tej całej sprawie.

Zeznania Guzenki, opublikowane częściowo w prasie, były prawdziwą rewelacją dla szerokich kół społeczeństwa anglo-saskiego, karmionego w czasie wojny jedynie peanami na cześć sowieckiej Rosji.

Guzenko otworzył im oczy na prawdziwe stosunki panujące w Rosji: W Z.S.R.R. nie istnieje wolność jednostki, wybory są tam farsą, bo głosuje się tylko na jednego kandydata; po raz pierwszy w życiu zobaczył Guzenko prawdziwe wybory dopiero w Kanadzie. Zrobiło to na nim olbrzymie wrażenie i stało się jednym z głównych motywów zerwania z systemem, rządzącym przy pomocy kłamstwa, teroru i gwałtu. Guzenko rozwiał nadzieje na pacyfizm Sowietów, stwierdzając jasno, że Sowiety czynią przygotowania do trzeciej wojny światowej, by uzyskać władztwo nad światem — i że pomagają im w tym partie komunistyczne w krajach Zachodu, pełniąc rolę piątej sowieckiej kolumny.

„Cieszę się, że znalazłem w sobie dość odwagi, by ostrzec Kanadę i inne państwa demokratyczne przed niebezpieczeństwem, jakie wisi nad nimi" — powiada w swych zeznaniach b. urzędnik sowieckiej ambasady.

Z dokumentów dostarczonych przez Guzenkę, wynika jasno, że moskiewski pająk osnuł swą siecią cały świat poprzez sowieckie ambasady, konsulaty, związki zawodowe i partie komunistyczne.

Guzenko był tylko jednym, małym ogniwem tej olbrzymiej sieci. Jako urzędnik attachatu wojskowego, zaznajomił się jedynie ze szpiegowską działalnością jednego tylko biura. Lecz tych biur było w ambasadzie więcej, a każde z nich miało własną sieć szpiegowską.

Moskwa dysponuje za granicą co najmniej pięcioma odrębnymi organizacjami wywiadu: tajną policją, wywiadami marynarki i wojska, gospodarczym i dyplomatycznym. Wszystkie te organizacje mają na celu szpiegowanie na rzecz Moskwy i sianie zamętu w terenie, pracują jednak niezależnie od siebie, nic nie wiedząc o bratnich organizacjach. Moskwa nikomu nie ufa, więc jeden szpieg szpieguje drugiego. Agent wywiadu zna wyłącznie swą komórkę, około sześciu ludzi. Jeżeli jedna komórka zostanie wykryta i zlikwidowana, reszta olbrzymiej sieci pozostaje nietknięta.

W ambasadzie sowieckiej w Ottawie kapitanowie i porucznicy pełnili funkcje portierów i szoferów. Gdy Guzenko wszedł raz do ambasady o niezwykłej porze, bardzo wczesnym rankiem, zastał za biurkiem w swoim pokoju... portiera, który — jak się później okazało — pracował w nocy nad ważnymi aktami. Portier ten, Patonia,

był bardzo ważną osobistością. Guzenko widywał go nieraz w towarzystwie Gusarowa, który był oficjalnie tylko młodszym sekretarzem, lecz jako delegat Centr. Komitetu Partii Komunistycznej, miał w rzeczywistości większą władzę w ambasadzie, niż sam ambasador.

Zadaniem Gusarowa i Patonii było czuwanie nad prawomyślnością całego personelu tej sowieckiej placówki. Urzędnicy ambasady Z.S.R.R. żyli w Ottawie, jak członkowie typowej cudzoziemskiej kolonii autokratycznego państwa.

Pułk. Żabotin otrzymał pewnego dnia telegraficzną wiadomość o odznaczeniu go dwoma medalami za „dobrą pracę organizacyjną". „Teraz już się nie boję jechać do Moskwy" — powiedział w obecności innych urzędników.

Po ucieczce Guzenki natychmiast wezwano pułk. Żabotina do Moskwy. Nie pomogły dwa medale. Wyjechał w pośpiechu (nie zawiadamiając o tym władz kanadyjskich) na sowieckim statku, który wypłynął z nowojorskiego portu potajemnie, w nocy, wbrew wszelkim przepisom portowym. Wkrótce potem nadeszła z Moskwy wiadomość, że pułk. Żabotin umarł. Umarł, czy nie umarł, w każdym razie nikt go już nigdy nie zobaczy. Tak się załatwia tego rodzaju sprawy w państwach „demokratycznych".

Premier kanadyjski podkreślił, że dzięki Guzence wykryto w Kanadzie nici tajnej organizacji, niebezpiecznej dla W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Lecz w żadnym z tych państw nie przedsiębierze się środków zaradczych. Dlaczego — nie wiadomo; wiadomo jednak, że komunistyczna sieć pajęcza wciąż wisi nad W. Brytanią, wiadomo, że złowrogi pająk dalej przędzie tę pajęczynę, którą omotać chce nasze życie. W Kanadzie pomagali mu w tym „urzędnicy państwowi i inne osoby cieszące się ogólnym zaufaniem". Wiele znaków wskazuje na to, że podobnie zacni ludzie mogą mu pomagać również i tutaj.

Jeżeli baczniej zaczniemy się rozglądać wokół siebie, spostrzeżemy jak głęboko zapuściło korzenie w naszym kraju zło komunistyczne.

(„London Tidings")

„RUSSY"

Ja kocham małą Russy — przyjaźni próbuję
Kaprysy jej znoszę — lecz nic nie skutkuje.
W zapasie mam dla niej zawsze coś słodkiego,
Lecz Russy ma minę niedźwiedzia dzikiego.
Zabawki przynoszę — ja idealista...
A ona wciąż mruczy: „Ot kapitalista!"
Poślę jej bekon, mydło — choć świat mnie wyśmieje
Czy Russy mnie pokocha?
Hm... Miejmy nadzieję.

(*Przekład z „New York Times Magazine".*)

NIEWINNY TWÓRCA TRZECIEJ RZESZY

„Universum — miesięcznik poświęcony sprawom Polski i świata, wychodzący w Monachium pod redakcją dra Wojciecha Zaleskiego, zamieszcza w numerze 5, ciekawy artykuł o uwolnionym w procesie narymberskim H. Schachcie.

Dlaczego raz w życiu nie mamy być zgodni z „Prawdą", „Izwiestiami", „Życiem Warszawy", komentatorem politycznym radia Berlin oraz sędziami Nikiczenką i Wołchowem z Trybunału Norymberskiego?

Właśnie jesteśmy z nimi jednego zdania w *jednej sprawie*. *Nie w trzech sprawach.*

Fritsche był osobą trzeciorzędną w ministerstwie propagandy. Pierwszoplanową był Goebbels, drugoplanową Dietrich. I niewątpliwie podniesienie i najsilniejsze uwydatnienie tego momentu było najmocniejszą stroną obrony Fritschego. „Siedzę tu tylko dlatego, że ani Goebbels ani Dietrich nie dostali się żywcem w wasze ręce — mówił Fritsche i każdy wiedział, że mówi prawdę.

Byłoby śmieszne skazywać tego technika propagandy za planowanie wojny lub t. p. Fritsche nie planował nawet swych mów — plany ich dostawał. Fritschego uniewinniono, może go tam teraz skazywać jakiś sąd niemiecki za „aktywizm". Nas ta sprawa nie interesuje.

Von Papen? Dość nieciekawy charakter, arystokrata, który Hitlera popierał z wyrachowania, a w końcu... ze strachu. Nie brak dowodów, że Hitler go w gruncie rzeczy nie znosił, a nie zlikwidował go tylko dlatego, że uważał go za zbyt słabego, by mógł być groźnym. Pappena wystarczyło nastraszyć, podczas gdy n.p., Schleichera trzeba było zabić. Pappen wojen nie planował, z okrucieństwami nie miał nic wspólnego.

Ale Hjalmar Schacht? Gdy chciałoby się szukać analogii historycznej dla tej postaci przypomina się Talleyrand i Napoleon. To porównanie kuleje w drugiej części. Wzdrygamy się przed porównaniem Napoleona z Hitlerem. Choć może obaj byli grabarzami potęgi swych narodów, Napoleon pozostawił tradycję chwały — Hitler tradycję hańby. Ale w *stosunku* Schachta do Hitlera jest niewątpliwie coś podobnego do stosunku Talleyranda do Napoleona.

Jak myślał Schacht o Hitlerze?

„Wódz jest wielki. Uwielbiany przez tłumy. Depcze po ludziach jak po niedopałkach od papierosów, rzuconych na ziemię. Dla niego odbywają się parady. Jego podobizna ukazuje się na czołowych miejscach pism całego świata. Vive l'Empereur, Heil Hitler, Sieg Heil! Ale tylko ja jeden znam tajemnicę, której On może się do-

myśla ale nie chce jej znać, nie chce o niej nic wiedzieć. Ta tajemnica jest prosta: Jestem mądrzejszy od Niego. On mnie potrzebuje".

Dzieje stosunku Schachta do Hitlera, to są jak dzieje stosunku Talleyranda do Napoleona, dziejami służalstwa i zdrady. Obaj przeżyli swych Panów. Talleyrand jako czynny motor przewrotu, a po tym istotny rządca Francji — Schacht jako więzień Hitlera, a po tym więzień jego zwycięzców. (Co będzie dalej — zobaczymy).

Skąd przy takim podobieństwie roli obu tych ludzi tak odmienny koniec? Tu już kończy się analogia. Wchodzą w rachubę momenty całkiem inne. Schacht należy do piątej kategorii przywódców politycznych: ludzi finansów i gospodarki. Inne kategorie to dynaści, wodzowie wojskowi, trybuni ludu, parlamentarni mężowie stanu. Kategoria przywódców politycznych, wyrosłych z gospodarki, to szczytowy produkt nowoczesnego kapitalizmu.

Wielcy finansiści niemieccy i królowie ciężkiego przemysłu niemieckiego mieli obok swoich ambicji najbardziej niemiecko-nacjonalistycznych swoje kontakty międzynarodowe i to jeszcze w czasie monarchii Hohenzollernów, kiedy masoneria staropruska zaryzykowała pierwszą wojnę światową, rozkładała ryzyko po 50% na obie strony i z obu stronami utrzymywała żywy kontakt.

W tych właśnie czasach zaczyna się wielka rola Hjalmara Schachta. Po przegranej wojnie z natury rzeczy miał on szanse wyjścia z ukrycia i zrobienia wielkiej kariery. Nie sposób zaprzeczyć, że jako ekonomista i przede wszystkim polityk ekonomiczny Schacht był niezwykle uzdolniony — niemal genialny. Był niemieckim odpowiednikiem Keynes'a, jako wykonawca może przewyższał swego angielskiego mistrza — a w każdym razie wyprzedził go w praktycznym zastosowaniu nauki o pełnym zatrudnieniu.

Schacht tak samo jak Keynes, był człowiekiem, który mógł gdyby mu dano odpowiednie pole do działania, zamienić światowy kryzys w światowy dobrobyt... (Inna rzecz, czy dobrobyt ten przeżyłby swych twórców).

Praktycznie zajęło go jednak co innego. Zorientował się, a wraz z nim zorientowała się finansjera i ciężki przemysł niemiecki (Hugenberg — ale nie tylko Hugenberg), że przy rządach wejmarskich nie da się uporządkować gospodarki niemieckiej. Keynes zauważył kiedyś mimochodem, że jego zalecenia są łatwiejsze do zastosowania w państwie rządzonym przez dyktatora, niż w państwie demokratycznym. Wymagały pewnej stabilizacji reżymu.

Ta idea spędzała sen z powiek Schachta i jego mocodawców. Rozwiązaniem byłoby poparcie głupkowato-genialnego Hitlera. Żaden z wielkich ludzi działających w wielkich finansach i ciężkim przemyśle Niemiec nie uważał Hitlera za geniusza. Błąd ich polegał na tym, że przeceniali głupotę Hitlera. Uważali, że uda się uzyskać nad

nim decydujący wpływ. Dali mu poparcie i pieniądze. Gdy doszedł do władzy ,dali mu jeszcze coś więcej — geniusz Schachta.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że gdyby nie było Goeringa, Keitla, Rosenberga, Fricka, Streichera, Seyss-Inquarta, Ribbentropa, Jodla, Kaltenbrunnera, Franka, Sauckela i Bormana razem wziętych, wypadki prawdopodobnie rozwinęłyby się mimo to tak, jak się właśnie rozwinęły. Ale gdyby nie było jednego Schachta rozwinęłyby się zupełnie inaczej. Bez wspaniałego sukcesu polityki gospodarczej Schachta nie byłoby mowy i dozbrojeniu Rzeszy, o olbrzymich sukcesach pokojowych do r. 1939, o zorganizowaniu basenu naddunajskiego dla potrzeb gospodarki Rzeszy, krótko mówiąc bez Schachta Hitler skończyłby się prawdopodobnie w ciągu paru lat.

Ale — to pytanie dla sprawy winy ma decydujące znaczenie — czego właściwie chciał Schacht? Schacht chciał zrobić „wielką umowę". Jedną z tych „wielkich umów", jakie decydują o wielkości wodzów gospodarczych, jakie są ulubioną metodą ich działania. Najpierw stworzyć siłę gospodarczą Rzeszy, po tym zdusić państwa środkowej Europy, a więc i nas — narzucić im dyktaturę gospodarczą Rzeszy, a po tym — dogadać się z zachodem. Może w końcu nawet uzgodnić sprawę wschodu.

Całe nieszczęście Schachta polega na tym, że Hitler był za głupi, by zrozumieć, że plan Schachta stanowi maksymum tego, co Niemcy mogą osiągnąć, a równocześnie za mądry na to by dać się przez Schachta omotać. Wyzyskał go do ostatnich granic. Gdy już cała machina walutowo-kredytowa funkcjonowała bez zarzutu, gdy system umów handlowych narzucił basenowi naddunajskiemu niemiecki plan gospodarczy Schacht poszedł „w odstawkę".

Hitler wiedział doskonale, że nigdy nie był on jego człowiekiem. Przez cały czas miał swoje powiązania międzynarodowe, przez cały czas wytwarzał w środowiskach międzynarodowych opinię, że z Hitlerem można się dogadać. Za kulisami odegrał wielką rolę w polityce międzynarodowej. Jeżeli w r. 1933 odrzucone zostały polskie propozycje zlikwidowania hitleryzmu, to dlatego, że koła międzynarodowej organizacji wierzyły w swojego Schachta i uważały, że przewaga Niemiec nad Polską n.p., nic światu nie zaszkodzi, bo z Niemcami, można się dogadać.

Może ktoś zapytać — a kwestia żydowska? Otóż właśnie. Schacht nie był antysemitą. Jakżeżby mógł nim być, będąc wolnym mularzem? Ale Schacht tłumaczył światu, że tę sprawę „da się z Hitlerem załatwić". Tu się mylił. Ta jego omyłka kosztowała żydów 6 milionów zabitych.

Ale mimo wszystko Schacht był swoim człowiekiem. I nigdy nie przestał nim być. Międzynarodowa organizacja bierze tylko połowę duszy człowieka. Druga może zostać na przykład, jak w tym wypadku, pruska. To co Schacht robił jako mason nie udało się. To co ro-

bił jako Prusak udało się na zgubę Rzeszy. Wojnę przygotował znakomicie. Jego plan zwrócony był przeciwko Polsce i zmierzał do jej zduszenia. Zwrócony był też przeciw wszystkim ludom środkowej Europy, które chciał poddać dyktaturze niemieckiej organizacji gospodarczej nie bez używania groźby wojny. Dlatego zwolnienie Schachta nie wywołało u nas przyjemnego wrażenia.

Wyrażenie „nie rozumiemy go" byłoby nieścisłe. Rozumieć, rozumiemy.

— - —

„Jedyna rzecz kosztowniejsza od studiów — to ignorancja".

„Przegrywaj — tak jak byś był z tego zadowolony
Zwyciężaj — tak jak byś był do tego przyzwyczajony".

(Thomas Hitchkock do swego syna znanego sportowca).

POWRÓT KLASYKÓW

Jeszcze do niedawna zasadniczą strawę literacką dla dorożkarza, buchaltera, przemysłowca, aptekarza, czy sprzedawcy w Chicago — stanowiły marne powieści, krótkie, rzekomo dowcipne, anegdoty, oraz ponure bujdy kryminalne. W ciągu ostatniego roku jednak nastąpiła zdumiewająca zmiana w gustach literackich szerokich sfer ludności wielu miast amerykańskich.

Dziś nierzadko policjant rozprawia z entuzjazmem „o tym cwaniaku Arystotelesie", gosposia namiętnie zwalcza *„Manifest Komunistyczny Marksa"*, zmęczony gonitwą za interesami przemysłowiec ożywia się kiedy w gronie przyjaciół omawia platońską *„Obronę Sokratesa"*, a poczciwy aptekarz zwierza się swoim nowym klientom — buchalterowi i sprzedawcy — „Uważam moi panowie, że każdy wyborca powinien sobie przeczytać *„Księcia"* Macchiavella. Cóż to za rewelacja w sprawach politycznych"!

Wszyscy ci ludzie i przeszło 1000 im podobnych należą do 31 „Kół dyskusyjnych poważnej literatury", działających obecnie na terenie Chicago. Grupują się w tych kołach zarówno bogacze jak ludzie biedni; obok bibliotekarzy — fryzjerzy i posługacze; obok ludzi nauki, dziennikarzy — urzędnicy i policjanci. Około 1200 kobiet należy do tych organizacyj w Detroit, ta sama liczba zwolenniczek propaguje czytanie „wielkich" książek na terenie Cleveland; ponad 1000 entuzjastycznych czytelniczek klasyków w wieku lat 25 — 60 ma Indianopolis.

Ten nagły entuzjazm społeczeństwa amerykańskiego dla dzieł, które do niedawna stanowiły wyłączną dziedzinę zainteresowania uczonych specjalistów, wywołuje uśmiech dumy i zadowolenia na usta 32 letniego nauczyciela Johna Barden.

„Nieraz myślałem nad tym jaka to szkoda niepowetowana, że policjant, magazynier, szofer, czy odźwierny nie są obeznani z dziełami klasyków" — mówi Barden. „Przecież te książki chyba nie po to zostały napisane, aby zalegały równymi, pięknie oprawionymi szeregami, półki biblioteczne. Poglądy w nich wyrażone, zestawione z zagadnieniami życia współczesnego, mogą dać ludziom doskonałe pojęcie o naszym związku z przeszłością".

Zamiłowanie do dzieł klasyków sprawiło, że John Barden został jednym z najbardziej niezwykłych komiwojażerów w Stanach Zjednoczonych. Co tygodnia agituje on na rzecz czytania dzieł sławnych pisarzy w 4 miastach Ameryki i zapewnia, że w ciągu najbliższych 5 lat ponad 150.000 ludzi w 30 miastach podejmie jego dzieło. Barden, który jest zastępcą dyrektora szkoły dokształcającej przy uniwersytecie chicagowskim, otrzymał specjalne zezwolenie na objazd owych 4 miast w celu przygotowania kierowników dyskusji dla „Kół dyskusyjnych poważnej literatury".

Pracę w Chicago rozpoczął on przed rokiem na jednym kursie; dziś działa w tym mieście 31 grup, a liczba ich — jak wielu przewiduje — dojdzie do 70 jeszcze przed końcem obecnej zimy. W Indianopolis, Detroit, Clevelend oczekuje się powstania około 30 kół dyskusyjnych w każdym z tych miast.

Ten silny zwrot szerokich rzesz czytelników ku literaturze klasycznej poprzedziło 16 lat cichej pracy prof. Mortimera J. Adlera, wybitnego znawcy filozofii na uniwersytecie w Chicago. Wierzył on, że swobodna wymiana myśli i poglądów w oparciu o literaturę klasyczną może stać się bardzo poważnym czynnikiem w dziedzinie oświaty dla dorosłych. Teorię swą wypróbował Adler na przedmieściach Chicago gromadząc przy stole dyskusyjnym wszystkich, którzy się interesowali tymi zagadnieniami.

Później młody ale sławny rektor uniwersytetu Dr. Robert Hutchins po raz pierwszy „zareklamował" eksperyment Adlera prowadząc kursy literatury dla bankierów, finansistów i potentatów przemysłu. Ludność Chicago z zainteresowaniem śledziła wysiłki ludzi należących do finansowej elity miasta borykających się z dziełami: Tucydydesa, Św. Augustyna, Locke'a, Montaigne'a czy Rousseau'a. Zaśmiewano się do łez przy czytaniu notatki prasowej jak to znany milioner został zbesztany przez Hutchinsa za mylną interpretację dzieła Adama Smitha: *„O bogactwie narodowym"* albo jak inny jakiś „rekin przemysłu" usłyszał parę cierpkich słów, za „nieprzygotowanie się" z wyznaczonej partii Chaucera przed przyjściem na zebranie.

Przez cały czas trwania wojny John Barden jeździł po Europie rozpowszechniając taniutkie egzemplarze dzieł klasyków wśród żołnierzy amerykańskich. — „Cóż panu przyjdzie z tych szpargałów" — pytali go żartobliwie żołnierze. „Przecież autorzy tych książek umarli przed wiekami"! „Autorzy pomarli, ale idee ich żyją" — odpowiadał

niezrażony Johny. I dodawał zaraz: „Dlaczego nie pożyczysz sobie książki jeden z drugim i nie przekonasz się o tym"? Niektórzy żołnierze pożyczali i wielu z nich stało się gorącymi zwolennikami klasyków.

Po wojnie Barden wszedł do grona profesorów uniwersytetu, a ze Szkoły dokształcającej wyszła inicjatywa, aby Barden swój plan czytania „wielkich książek" rozpowszechnił na terenie całej Ameryki.

„Mówi się o 100 wielkich książkach stu sławnych pisarzy, ale to nie jest zbyt ścisłe twierdzenie i wprowadza w błąd — powiada Barden. Jest bowiem mniej niż 100 naprawdę wielkich pisarzy, ale znacznie więcej niż setka pomnikowych dzieł. Nawet powierzchowne zapoznanie się ze wszystkimi „wielkimi" książkami zajęło by lata całe. Właściwie powinno się czytać te rzeczy w całości w sprzyjających warunkach; jednakże ogromna większość czytelników może przeznaczyć na lekturę tylko ograniczoną ilość czasu, dlatego stosując się do tych warunków zestawiliśmy listę najważniejszych książek, które mogą przeprowadzić chętnych przez całe stulecia myśli ludzkiej w ciągu rocznego kursu. O ile w przerwach pomiędzy zebraniami dyskusyjnymi nie można opanować dzieła w całości — poleca się przeczytanie najważniejszych rozdziałów wybranych książek".

A oto lista najbardziej typowych autorów, których nazwiska powtarzają się w programie 6 kół dyskusyjnych „wielkiej literatury": Plato: *„Obrona Sokratesa"*, *„Kriton"*, *„Gorgiasz"*, Tucydydes: *„Historia"*, Arystofanes: *„Lizystrata"*, *„Ptaki"*, *„Chmury"*, Plutarch: *„Życiorysy"*, Św Augustyn: *„Wyznania"*, św. Tomasz: *„Traktat o prawie"*, Macchiavelli: *„Książę"*, Montaigne: *„Szkice"*, Shakespeare: *„Hamlet"*, Locke: *„O rządzie"*, Rousseau: *„Umowa społeczna"*, Marx: *„Manifest komunistyczny"*.

Grupy dyskusyjne ograniczone są do 35 osób; przy wpisie nie wymaga się żadnego cenzusu naukowego. W każdej grupie dwóch, bardzo starannie wybranych przewodników, podtrzymuje zainteresowanie członków przez ustawiczne zadawanie pytań. Nie są oni wykładowcami, używają jedynie sokratycznej metody zasypując zebranych pytaniami. Kierownictwo baczy pilnie, aby ci przewodnicy nie nabierali manier profesorów i skłonności do monologowania; jeżeli to się zdarzy zastępuje się ich innymi, którzy nie narzucają innym swojej opinii. Niektórzy potrafią postawić około 150 pytań w ciągu 2 godzinnego zebrania w czasie którego wszyscy siedzą przy wspólnym stole, ćmią papierosy i nie żałują sobie wzajemnie dobrodusznych docinków; niegroźne utarczki słowne są także na porządku dziennym.

„Jak się wam wydaje, dlaczego Swift w *„Podróżach Gullivera"* ośmieszył rodzaj ludzki? Czy był on tylko zgorzkniałym ramolem czy też miał jakieś specjalne powody?" — brzmi jedno z typowych pytań.

„Dlaczego pani Barney sądzi, że jej opinia jest słuszna? Widzę że p. Reilly potrząsa głową przecząco. Proszę, śmiało niech się pan

wypowie! Na tych zebraniach nikt nie ukrywa swoich poglądów".

Typowy kurs przy pracy można zobaczyć odwiedzając np. koło dyskusyjne przy Bibliotece Austina w Chicago. Buchalter, 5 gospodyń, 6 urzędniczek, subjekt sklepowy, 8 nauczycieli oraz grupka starszych osb, prawdopodobnie emerytów, omawia „*Księcia*" Macchiavella. Zażywna gosposia rzuca właśnie uwagę: „Ta książka przypomina mi polityków chicagowskich: żeby się wybić trzeba być hipokrytą i bez żadnych skrupułów dawać obietnice wyborcom".

„Źle pani rozumie Macchavella — powstaje w obronie autora jakiś starszy pan — on pisał swoje dzieło z myślą o epoce jemu współczesnej. Wiele rzeczy zmieniło się na świecie od tego czasu i nie można wysnuwać takich poglądów z tej książki. Moim zdaniem"...

I tak się rozpala dyskusja. Przez porównanie własnych spostrzeżeń z myślami zawartymi w „wielkich książkach" ludzie dochodzą do przekonania, że starożytni pisarze bynajmniej nie są „umarli". Nigdy więc nie brakuje kandydatów na opróżnione miejsca w grupach dyskusyjnych. Około 100 mieszkańców dzielnicy, w której znajduje się gmach Biblioteki Blackstona w Chicago szturmowało jej podwoje tego wieczora kiedy odbywały się zapisy na pierwszy kurs dyskusyjny literatury klasycznej; około 40 z nich z triumfem wcisnęło się do sali zebrań.

Pewien krawiec w rozmowie ze swoim czeladnikiem powiedział, że dawno już marzył o tym, aby czytać dramaty Shakespeara, wziął się nawet do tej pracy, ale szybko się zniechęcił trudnościami, które napotkał. Czeladnik zaprowadził więc pryncypała na zebranie literackie w sąsiedztwie i teraz obaj rozprawiając na tematy zawodowe używają terminów filozofów, których dzieła studiują.

Niekiedy studiowanie dzieł wielkich pisarzy daje natychmiastowe, nieoczekiwane rezultaty:

Aptekarz z Ohio zajmował zawsze niechętne stanowisko wobec obowiązków wyborcy: „Na co się przyda głosowanie — mruczał z pogardą — i co to za różnica kto się dorwie do władzy kiedy to wszystko wierutne dranie".

Ale na posiedzeniu koła dyskusyjnego kazano mu przeczytać część traktatu Millsa „*Rząd reprezentacyjny*" i oto aptekarz zaczął agitować wśród ludności miasteczka na rzecz wzięcia udziału w nadchodzących wyborach i „nawrócił" 86 obywateli.

W mieście Indiana bogata i niezwykle dumna pani nie opuściła ani jednego zebrania kłócąc się zawzięcie na temat poglądów Dostojewskiego i innych pisarzy rosyjskich z własną służącą.

„Byłam nieraz źle traktowana w tym domu — zwierza się służąca — ale od czasu kiedy rozprawiam z moją chlebodawczynią jak równa z równą na temat książek, otrzymuję lepsze wynagrodzenie, mam mniej pracy, a znacznie więcej uznania".

Snobów i kabotynów na ogół nie widuje się na zebraniach dyskusyjnych poważnej literatury. Pewna elegantka z Pekińczykiem na rę-

kach przyszła dwukrotnie i siedziała na nich strapiona, niemal przerażona.

„Wyobraźcie sobie — opowiadała później — ci ludzie stale zadawali mi pytania nalegając na to, abym koniecznie przeczytała te książki poważne. A ja przecież właśnie chciałam się dowiedzieć w jaki sposób można mówić o książkach nie czytając ich wcale".

Każdy może zapoczątkować nową grupę dyskusyjną „wielkiej literatury" wśród swoich przyjaciół i znajomych otrzymując za pośrednictwem uniwersytetu w Chicago kompletne listy dzieł wielkich pisarzy, poleconych do przeczytania. Rośnie więc liczba kół dyskusyjnych, rośnie liczba miłośników dzieł wielkich pisarzy.

Cel tych wszystkich zebrań i dyskusji ujął John Barden następująco:

Dążymy do tego, aby ludzie zrzeszeni w grupach dyskusyjnych, nauczyli się nieco lepiej czytać, nieco lepiej mówić i z większa uwagą słuchać zdania innych; aby wreszcie zapoznali sie bodaj z niektórymi wielkimi ideami, które ukształtowały wspaniałą kulturę zachodniego świata".

(*„Magazine Digest"*)

Oto jest pytanie

Wprowadzamy dział pożytecznych, pouczających zagadek z różnych dziedzin. Doradzamy organizowanie zbiorowych odgadywań postawionych pytań w świetlicach, „beczkach śmiechu" lub w większym towarzystwie. Odpowiedzi zawsze na przedostatniej stronie tego samego numeru „Co Słychać".

1. „Trudniej dobrze zorganizować pokój aniżeli wygrać wojnę; stracicie zwycięstwo gdy źle zorganizujecie pokój!".
   Kto to powiedział? Roosevelt, Napoleon, Churchill, Arystoteles, Evatt czy Bevin?
2. Kiedy po raz pierwszy użyto czołgów w akcji bojowej?
3. Skąd pochodzi słowo: „S l o g a n" — używane w reklamie amerykańskiej, brytyjskiej a nawet polskiej?
4. Wymień autorów następujących znanych, uroczystych pieśni polskich:
   a) „Kiedy ranne wstają zorze"?
   b) „Wszystkie nasze dzienne sprawy"?
   c) „Z dymem pożarów"?
5. Podaj imię i nazwisko znanego Polaka, który za wielkie usługi oddane Imperium Brytyjskiemu otrzymał tytuł szlachecki („Sir")?
6. Czy pamiętasz popularne w Polsce nazwy doskonałych materiałów ubraniowych: „twid"-tweed i „szewiot"-cheviot. Skąd pochodzą obydwie nazwy?

ANGLICY O SOBIE

Zauważyliście pewnie, że Brytyjczycy mało mówią, a kiedy już mówią — czynią to bez gestykulacji. Podobne przyzwyczajenie pozwala woźnicy czy kierowcy rozmawiać z kimś bez wypuszczania lejców czy kierownicy z ręki; inna sprawa, że ten brak gestykulacji utrudnia w wysokim stopniu zrozumienie tego co Brytyjczyk mówi.

Sposób posługiwania się własnym językiem jest dość oryginalny w tym kraju i często się zdarza, że Brytyjczycy sami siebie nie rozumieją; jakże więc może ich zrozumieć cudzoziemiec?

Obywatel z Yorkshire wymawia np. każde słowo inaczej niż mieszkaniec południowej Anglii o ile oczywiście przypadkiem obaj nie należą do tej samej kategorii społecznej, którą określa się u nas mianem: „Grupa płacących wysoki podatek dochodowy". Ta znikoma mniejszość posiada mniej więcej jednolitą wymowę, która czasem jest jeszcze trudniejsza do zrozumienia dla obcokrajowca niż „prowincjonalna" wymowa szerokich rzesz Brytyjczyków.

Ponadto bardzo niewielu Anglików używa tak starannej wymowy jak to czynią cudzoziemcy i często zrozumieć ich bardzo trudno (Szkotów jeszcze trudniej!), ale trzeba pamiętać, że Brytyjczycy widzą często wokoło siebie wiele mgły, która widocznie odebrała dźwięczność ich wymowie tak że mężczyźni mruczą, a kobiety piszczą, zamiast postarać się, aby głos wychodził z piersi czysty i donośny.

Niejednego z was zdumiała zapewne cisza panująca na angielskich stacjach kolejowych, gdzie bagażowi przesuwają się w milczeniu rzucając tylko od czasu do czasu półgębkiem: „Proszę usunąć się z drogi"; nie ma tu ani śladu tego rozgwaru, którym portierzy napełniają dworce we Francji. Widząc to możecie pomyśleć, że Anglicy są przeraźliwie apatyczni. Ale tak nie jest. Tylko po prostu w Anglii nie podnosi się głosu chyba na zawodach sportowych.

Używanie tytułów w rozmowie z ludźmi nieznanymi, a nawet i znanymi nie jest w Wielkiej Brytanii — w przeciwieństwie do wielu krajów kontynentu — rzeczą szczególnie ważną; możecie się zwracać do ludzi na tym terenie mówiąc — zależnie od okoliczności — pan, pani, panna, madame, kochany, drogi, moje serce, mój gołąbku, przyjacielu, kolego. Nie zaszkodzi jednak tytułować policjanta „Officer" albo „Constable". Ta uprzejmość może się bardzo przydać, ponieważ to właśnie policjant może was poinformować która jest godzina albo gdzie się znajduje ulica X. podczas gdy większość spotykanych przechodniów nie ma o tym zielonego pojęcia. Jeśli się spytać o drogę np. to zwykle odpowiedź brzmi: „Bardzo mi przykro, że nie mogę pana poinformować, ja sam nie znam tej dzielnicy (w Londynie zdarza się to bardzo często), albo na odmianę: „Niech pan idzie prosto, cały czas prosto — nie może pan zbłądzić". Ta ostatnia

informacja nie zawsze jest ścisła, ale jest podana jako rodzaj zachęty. Można się również spotkać z uwagą, że cel do którego się zdąża jest znacznie bliżej niż jest w istocie, ale znowu trzeba to przyjąć jako dowód, swoiście pojętej, życzliwości, a nie chęci okłamania.

W przeciwieństwie do przygodnych informatorów policjant, taksówkarz czy listonosz na pytanie o drogę stanowczym i pewnym głosem odpowie: „Pójdzie pan pierwszą ulicą na prawo, po tym trzeba skręcić w drugą ulicę po stronie lewej, i znowu w trzecią na prawo aż do świateł sygnalizacyjnych, a następnie jeszcze raz pierwszą w prawo". Tego skomplikowanego wyjaśnienia pewnie nikt z was nie zapamięta, ale zawsze pozostanie wam krzepiące przeświadczenie, że jednak ulica o którą pytacie, istnieje w tym mieście, a ci uprzejmi ludzie w uniformach wiedzą nawet gdzie się znajduje. Wielka to prawda, że policjant jest daleko bardziej przyjemny gdy odpowiada na nasze pytanie niż kiedy sam je zadaje. Kiedy np. ktoś zaczyna myśleć o jakiejś niezbyt groźnej ekstragawancji siadając nagle na ulicy albo rozpoczynając bójkę — policjant poważnie podchodzi i pyta uprzejmie: „Co to ma znaczyć"? Ponieważ jeszcze nikt nie wymyślił stuprocentowo pewnej odpowiedzi na to pytanie można próbować tłumaczyć się np. w sposób następujący: „Usiadłem, bo byłem bardzo zmęczony", albo: „Boksujemy się dlatego, ponieważ ja i ten oto gentleman poczuliśmy do siebie antypatię od pierwszego wejrzenia". Albo: „Ponieważ on mi zabrał (względnie zamierza zabrać) potmonetkę, żonę, albo moje miejsce w kolejce do kina". Albo po prostu: „Poczułem nieprzemożoną chęć uderzenia w szczękę tego jegomościa".

Odpowiedź policjanta także może być rozmaita. Może to być proste i przyjacielskie: „Dajcie pokój", lub nieco bardziej stanowcze: „Rozejść się!" (co oznacza, że należy natychmiast przerwać „zajęcie" i pójść prosto przed siebie), ale możecie także usłyszeć takie zaproszenie: „Wytłumaczy mi to pan na stacji". Stacja w tym wypadku nie oznacza stacji kolejowej; mowa jest o komisariacie policyjnym, który zresztą może się okazać wcale miłym lokalem do spędzenia kilku chwil; być może nawet, że poczęstują was tam szklanką herbaty. Jeśli się to zdarzy, to radzę przyjąć ofiarowany kubek nawet jeśli się nie lubi herbaty, bo to zawsze gruby błąd spierać się z policją.

Może się komuś wydawać, że angielski zwyczaj częstowania herbatą w każdej okoliczności trąci mocno przesadą. Otóż nie. To jest niejako narodowy sposób okazywania sympatii i życzliwości. W czasie nalotów niemieckich Anglicy krzepili się herbatą, kubek herbaty podaje się uratowanym ofiarom katastrof kolejowych, herbatą pociesza się będących w żałobie po stracie bliskich osób. Dla wypicia tego napoju przerywa się poranne urzędowanie, bo herbata jest uniwersalnym środkiem na wszystko.

Jeśli chcesz napić się piwa próbuj go szukać w najpopularniejszych miejscach zebrań jakimi dla Brytyjczyków są bary. Tam się lu-

dzie spotykają, popijają piwo, gawędzą lub grają w strzałki. Jeśli idzie o dyskusję polityczną to lepiej nie poruszać w „pubie" tematów mogących wywołać różnicę zdań jako że po kilku szklankach sprzeczka może się stać bardziej namiętna a wymiana zdań na temat wyniku meczu footbalowego, wyścigów konnych albo na każdy inny temat o podobnie epokowym znaczeniu — może zaprowadzić bardzo daleko.

O ile ktoś natomiast pragnie podyskutować o zagadnieniach mniejszej wagi niech pójdzie do Hyde Parku w niedzielę popołudniu albo każdego innego dnia wieczorem. W tym to Hyde Parku, w okolicy Marble Arch, z małych trybun rozlega się głos mówców omawiających wszelkiego rodzaju problemy wobec przygodnych słuchaczy. Zwyczajnie na boku stoi policjant, który daje baczenie, aby nie zakłócano spokoju. Stare angielskie powiedzenie głosi, że każdy człowiek ma prawo mówić o wszystkim co mu się żywnie podoba, a każdy inny może mu za to dać w szczękę. Ale w naszych spokojnieszych czasach (może zresztą są one spokojniejsze tylko w Wielkiej Brytanii bo w rozmaitych stronach Europy wcale jeszcze tak spokojnie nie jest) ta ostatnia czynność nie może być wykonana bez ściągnięcia uwagi stróża porządku publicznego.

Umiłowanie wolności weszło w krew Anglikom i ono to właśnie sprawia, że często postawieni wobec rozmaitych ograniczeń albo przepisów, które im niezbyt przypadają do gustu pytają: „Czy naprawdę żyjemy w wolnym kraju"? Oczywiście, że kraj nie jest bezwzględnie wolny, bo takiego nie ma na świecie: wszędzie są pewne zasady i prawa ograniczające wolność jednostki. Przypuszczam więc, że Brytyjczyk mówiąc o „wolnym" kraju stwierdza, że wie o istnieniu praw i przepisów oraz, wierzy w to, że dobrze jest tak długo dopóki te prawa i przepisy są przestrzegane.

Nie wolno więc u nas zabrać nikogo do więzienia tylko z tego powodu, że tak podoba się tym, którzy są u władzy; możemy nie tylko mówić co się nam podoba, ale i występować — na drodze legalnej — przeciw naszemu rządowi. I te właśnie czynności tak nas absorbują, że już niewiele czasu pozostaje na narzekanie na złą pogodę, której kaprysy nauczyliśmy się znosić z filozoficznym spokojem. A wogle nie trzeba nas traktować zbyt serio gdy żalimy się czy narzekamy, jako że — ogólnie rzecz biorąc — jesteśmy społecznością ludzi zadowolonych.

(*Rose Maculay „Free Europe"*.)

* * *

„Znaczne liczba Brytyjczyków może stać się członkami tej Izby bez utraty swego braku znaczenia". (*Beverley Baxter M. P. w Brytyjskiej Izbie Gmin*).

Dyskusje na wesoło

W doskonałym felietonie p. Tadeusza Nowakowskiego p. t. „Głos z beczki“ („Wiadomości“ z dnia 5 stycznia b. r.) czytamy:

„...Setka Kołomyjczyków trzęsie się ze strachu żeby tylko, na rany ojczyzny, nie zrobić wtydu, nie zepsuć opinii, nie narazić się, nie nadużyć gościnności, ojej!...

„Anglicy na nas patrzą! Nie gestykulujcie na ulicy! Mówcie szeptem! Witajcie się bez podawania rąk! Nieszczęśni cóż robicie?! Nie zdejmujcie kapelusza! Nie całujcie w rękę!... Obejrzyjcie się dokoła! W każdym żywopłocie siedzi ukryty Anglik z fajką i patrzy na was przez teleskop.

Panowie dajcie spokój! Cóż to za straszenie starej panny małżeństwem, cóż to za mania prześladowcza“?

*

* *

Nie zgadzamy się w tej mierze z poglądem skądinąd sympatycznego autora. Odpowiemy na razie tylko dwoma autentycznymi obrazkami, zaobserwowanymi na terenie jednego z wielkich miast szkockich.

Obrazek I: Rzecz dzieje się w centrum miasta; na przystanku tramwajowym stoi grupa nowoprzybyłych żołnierzy polskich — po przeciwnej stronie bardzo szerokiej i ruchliwej ulicy stanął zażywny podoficer, który poznawszy znajomków ryknął na cały głos chcąc zagłuszyć hałas uliczny: „Chłopaki, gdzie jedzieta?! — Co?! Nie słyszę?! Czy przyjechał z wami Chrząszcz?! — Jakto, który Chrząszcz?! Z piątego pułku? Co?! Nie słyszę! Głośniej!“ Chłopaki nie tracąc kolejki w ogonku darły się jak opętane by zadowolić w informacjach starszego rangą ziomka z przeciwnej strony ulicy. Szkoci, trochę zgorszeni, trochę przerażeni, w słusznym mniemaniu, że stało się coś okropnego spieszyli ze wszystkich stron ofiarowując swą pomoc. Zaintrygowany policjant wstrzymał na chwilę ruch. A to szło przecież tylko o to, czy Chrząszcz z 5 pułku przyjechał...

Czy „mania prześladowcza“?

Obrazek II: Rzecz dzieje się w dużej aptece. Dwie panie mówiące po polsku stoją w ogonku; jedna po lewej do lady z lekarstwami, druga po przeciwnej stronie do działu kosmetycznego. Pani po lewej zatrzymuje nieco ruch klientów, bo nie może się dogadać po angielsku. Ale nic to. Szkoci uśmiechają się życzliwie, a ekspedientka bardzo przyjaźnie udziela wyjaśnień nawet na palcach. Ogonek rośnie...

Po prawej jest gorzej. Pani kupująca kosmetyki z trudem wybiera pudry i grymasi przy doborze szminek. Szkotki z koszyczkami czekają cierpliwie tak jak tylko one jedne w świecie czekać umieją... Nagle pęka bomba. Pani z lewego ogonka głośno wita panią z prawej strony i poza kolejką podchodzi do lady z kosmetykami. Przez ogonek przebiega szept: „Shame"! Obydwie panie są już zidentyfikowane, bo sklep dość cichy mimo tłoku, dźwięczy cały głośną — o wiele za głośną — polszczyzną. Szkotki kiwają głowami i... cmokają. Ekspedientka w dziale perfumerii przez dłuższą chwilę nie wie co robić i jest niemym świadkiem, obcej rozmowy dwóch pań. Wreszcie puder jest „umiejscowiony" i szminka „zadecydowana". Teraz z kolei pani z lewej bierze panią z prawej do lady z lekarstwami, po czym wymachując rękami i napełniając głosikami każdy flakon w dużej aptece — nareszcie zmierzają do wyjścia.

Czy istotnie „nie psujemy sobie opinii"?

Prawo dalszej serii typowych obrazków na ten sam jakże, istotny i niestety zawsze żywy temat — zastrzegamy sobie w następnych numerach.

* * *

„Kobiety dlatego nie osiągają takich stanowisk jak mężczyźni — bo nie mają żon". *(Profesor Margery Nicholson, Columbia University).*

„My kobiety mówimy bardzo dużo, może za wiele. Ale i wtedy gdy mówimy za wiele nie wypowiadamy nawet połowy tego co wiemy". *(Lady Astor w Izbie Gmin).*

Przez dziurkę w żelaznej kurtynie

Podajemy bez komentarzy kilka ciekawych fragmentów z ostatnich numerów prasy wychodzącej w Polsce.

„GŁOS LUDU" (reżymowy dziennik P.P.R.) w jednym z numerów grudniowych w felietonie p.t. „Plotki".

„...Mamy niewątpliwe odprężenie na arenie międzynarodowej. Projekty traktatów z satelitami Rzeszy zostały już uzgodnione. Konferencja w sprawie Niemiec odbędzie się w marcu w Moskwie — fakt że miejsce jej obrad zostało ustalone bez sporów i to właśnie w Moskwie, posiada swoją dyplomatyczną wymowę, chociaż oczywista, bynajmniej nie przesądza jej rezultatów. Zdawałoby się, że istnieją wszystkie powody do bardziej spokojnego traktowania perspektyw międzynarodowych.

Zdawałoby się... Ale plotka mówi inaczej. Plotka mówi, że „trzecia wojna" — to sprawa zadecydowana. Plotka mówi, że Związek Radziecki zmobilizował 5 nowych roczników — w rzeczywistości,

wręcz odwrotnie właśnie ostatnio posłano do domu kilka roczników, trzymanych dotąd pod bronią. Plotka mówi o dywizjach, korpusach, armiach... Wszystko bujda, wymyślona chyba przy całej baterii kieliszków."

„KUŹNICA" — tygodnik społeczno-literacki w artykule Piotra Borowego z dnia 31 grudnia p.t. „W Jugosławii".

„Wiozę dla Tito list i życzenia od marszałka Polski, od armii i kraju zaprzyjaźnionego. Rozmowa z Tito nie jest oficjalna i trwa dłużej niż wymaga tego protokół dyplomatyczny. Marszałek wypytuje o naszą armię i młodzież. Mówiąc o młodzieży jugosłowiańskiej głos jego poważnieje (!). Jest ona jego dumą i nadzieją, co akcentuje.

Myślę o zbłąkanej młodzieży polskiej i o jej dramacie jaki przeżyła podczas wojny i przeżywa jeszcze do dzisiaj. Największą chyba krzywdę wyrządzili jej starzy politycy opętani wojną z Rosją. Jeszcze dziś w niejednych oczach widzę nienawiść do Polski, która powstaje; niejedne zaś młode ręce strzelały z automatu do Polaków zamiast do Niemców. Droga ich wiodła przez faszyzm..."

„TYGODNIK POWSZECHNY" — katolickie, niezależne pismo społeczno-kulturalne w n-rze 47 w „Felietonie pesymistycznym" Kisiela p.t. „Tęsknota do zwierząt".

„...Pisać o smutku i tęsknocie — po co? Smutek — wiadomo — jest i będzie, to choroba, której nikt nie uniknie. Smutek spotyka zawsze człowieka wśród ludzi. Bowiem szczep ludzki jest wyjątkowo niemiłym zbiorowiskiem. Bardzo niesprawiedliwe jest nazywanie człowieka brutalnego — zwierzęciem. Niesprawiedliwe — dla zwierząt, które mogłyby się obrazić. Zwłaszcza pretensje zgłaszać może tak roztropne i wytrawne stworzenie jak osioł, tak łagodny i nieszkodliwy stwór jak świnia, tak prostolinijny i odważny zwierz — jak wilk. Nie wiemy wcale czy świnie nie myślą sobie: „Ty człowieku!" Nie wiemy czy wśród wilków nie ma przysłowia: „Wilk wilkowi człowiekiem"..."

„GŁOS POMORZA" w numerze 259 zamieszcza notatkę p.t. „Łobuzerski wybryk".

„...W poniedziałek dnia 11 listopada, o godzinie 20.30 niepoczytalne jednostki podłożyły materiał wybuchowy pod pomnik radziecko-polski powodując uszkodzenie pomnika. Detonacja była dosyć silna wskutek czego wyleciały wszystkie szyby w domach przy ul. Groblowej. Łobuzerski wybryk niepoczytalnych jednostek potępia całe uczciwie myślące społeczeństwo, a przede wszystkim lokatorzy domów w których wyleciały szyby..."

„GŁOS LUDU" (P.P.R.)w numerze 337 cytuje z oburzeniem wiersz umieszczony w piśmie podziemnej organizacji polskiej „Wol-

ność i Niepodległość". Oto fragment wiersza z tajnego pisma „Honor i Ojczyzna":

„Tłuc komunistów, plemię wraże,
Gdzie tylko ich się ślad pokaże
Dławić ich jak w kowalskim miechu,
Nie dać im dojść do oddechu.
Wykręcać gnaty, łamać kości.
Bez miłosierdzia, bez litości.
Tu nie ma paktów i układów,
Porozumienia nie ma śladów.
Nic... nic... u siebie czy za domem
Kłonicą w łeb czy w ucho łomem.
Warszawa, Wilno, Gdynia, Jasło
My albo oni — oto hasło.
W nizinach ludzkich, czy na szczycie
Walka śmiertelna. Śmierć lub życie!"

*
* *

„Przyjaciel — to największy prezent, który możesz dać samemu sobie".

(R. L. Stevenson)

Pamiętaj!

WILNO... (R. Pobóg, N. York, 1941).

...Ojczyzno moja! Ziemio cicha,
Ziemio z ksiąg „Pana Tadeusza"
Choć moich wołań tam nie słychać,
Nad Tobą błądzi moja dusza.
I mleczna droga nieomylna,
Którą nie jeżdżą już sub-way'e
Prowadzi prosto mnie do Wilna
Przez wszystkie smutki i nadzieje...

LWÓW... (Henryk Zbierzchowski, 1936).

...A jeśli kiedy na gwiazd pójdę połów
I zamknie moje znużone powieki
Śmierć swoją dłonią — tak zimną jak ołów
Jeszcze zobaczę jak obraz daleki
Te białe wieże Twych cudnych kościołów
Jak wynurzają się z oparów rzeki,
I jak się pławią w wieczornej godzinie
W bladym, przeczystym niebios seledynie...
Kocham Cię Lwowie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich podjęło w ubiegłym roku działalność wydawniczą i może się poszczycić szeregiem sukcesów w tej dziedzinie.

Dotychczas jego nakładem ukazały się:

Adam Mickiewicz: Poezje wybrane, przedmowa Jana Lechonia, wybór Wiktora Weintrauba. Str. X i 125. Bogaty wybór młodzieńczych wierszy Mickiewicza, uzupełniony szeregiem utworów z okresu powstania listopadowego i lozańskiego.

Bolesław Prus: Nowele warszawskie Str. XVI i 230. Przedmowę napisał Wacław Grubiński. Wybór Marii Danilewiczonej. Tom zawiera 15 nowel Prusa ugrupowanych według tematów, które nasunęła pisarzowi obserwacja blasków i cieni życia Warszawy.

Kazimierz Wierzyński: Krzyże i miecze. Nowy tom poezji napisany pod przemożnym wrażeniem klęski, której doznała sprawa polska w ciągu ,,zwycięskiej" wojny.

Marian Hemar: Lata Londyńskie. Str. 43 2 nl. Tom zawiera utwory o charakterze refleksyjnym, poważnym bez zabarwienia satyrycznego.

Tymon Terlecki: Polska a Zachód — próba syntezy. Str. 48. Głęboko ujęty, odciążony z wszelkiej ,,mistyki" pogląd na dzieje nieustannego dążenia Polski do oparcia się o kulturę Zachodu.

Książnica Polska w Glasgowie wydała ostatnio:

Gebert i Gebertowa: Wypisy historyczne. Str. 167 10 nl. z 52 ilustracjami w tekście. Praktyczny i bardzo pożądany podręcznik pomocniczy do pogłębienia wiadomości z zakresu historii równie ważny dla młodzieży szkolnej jak i dorosłych.

Kazimierz Rutczyński: Zbrodnie wojenne. Str. 48. Praca obejmuje zestawienie uchwał i postanowień rządów państw walczących z mocarstwami ,,osi" w sprawie karania zbrodni wojennych.

Nakładem F. Mildner & Sons (Publishers) ukazały się ostatnio:

Denis Gwyn: Watykan a wojna w Europie — przekład z angielskiego. Str. 156 8 nl. Obszerne studium omawiające stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec państw walczących w ostatniej wojnie. Spory ustęp poświęcony sprawie polskiej.

W. Saski: Rodzina Pasków — fragmenty powieści. Str. 140 4 nl. Akcja ,,fragmentów" rozgrywa się w Polsce.

M. O. Leary: Kościół katolicki a wychowanie. Słowo wstępne Christopher Dawson. Str. 97 + 6 nl. Próba — wedle określenia autora — ukazania myśli chrześcijańskiej w dziedzinie wychowania.

Ks. Michał Rękas: Nowoczesne pojęcie kościoła. Str. 36. Obszerny komentarz do encykliki Piusa XIII ,,Kościół mistyczne Ciało Chrystusa".

Stefania Dąbrowska: Wanda Malczewska — życiorys. Str. 20 + 4 nl.

Biblioteka Polska w Wielkiej Brytanii wydała 2 prace aktualne:

Karol Zbyszewski: Polacy w Anglii. Str. 35 + 4 nl. Zwięzła charakterystyka środowiska brytyjskiego emigracji polskiej napisana z właściwą autorowi lekkością stylu.

Stanisław Klinga: „Emigracja walczy dalej". Str. 53 + 2 nl. Zwarcie napisana próba ujęcia całokształtu ideowych celów emigracji politycznej polskiej.

Jerzy Niemojowski: Wyszywane orłami — dramat. Wydawnictwo Polskiego Związku Wychodźctwa Przymusowego w Hanowerze. Str. 56. Dramat z czasów okupacji niemieckiej w Polsce pisany melodyjnym wierszem.

Jerzy Ciepielowski: „Kazimierz Pułaski w walce o niepodległość Polski i Stanów Zjednoczonych", wydanie II. Nakładem Mgr. P. Wodziańskiego. Str. 64 + 8 nl. Popularna, bardzo przejrzyście napisana praca o polskim i amerykańskim bohaterze narodowym.

Od mandragory do chloroformu

Próby zmniejszenia wrażliwości na odczuwanie bólu są tak dawne, jak próby leczenia chorób. W starożytności osiągano to przy pomocy napojów alkoholowych dawanych choremu. Do napoju zaczęto mieszać opium, haszysz (wyciąg z konopi indyjskich) i inne odurzające substancje. Szczególnej sławy nabrał korzeń mandragory, zawierający skopolamin, hiościamin i inne narkotyzujące alkaloidy. Spirytusowa nalewka z tego korzenia, nazywana „płomienną wodą", wywoływała sen, zmniejszone odczucie bólu, ale i zatrucie, często kończące się wypadkami śmierci.

Księgi z XI wieku naszej ery wspominają o „dających sen gąbkach". Były to suszone na słońcu gąbki, które przedtem nasycano sokiem pewnych roślin, jak mak, bieluń, mandragora i t.p. Przed użyciem gąbkę wrzucano do gorącej wody i chory potem wdychał wydzielającą się parę, aż usnął. Ten sposób inhalacyjnego znieczulania nie był już tak groźny dla życia, jak bezpośrednie zażycie trucizny, ale za to skuteczność jego była mniejsza.

Pełne i nie wywołujące niebezpieczeństwa znieczulenie stało się możliwe dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Pierwszym narkotykiem, który odpowiadał wymogom, był t.zw. „gaz rozweselający" (podtlenek azotu). Właściwości jego odkrył w 1799 roku znakomity fizyk i chemik Davy, który na samym sobie przeprowadzał eksperymenty, wypróbowując zastosowanie rozlicznych gazów przy leczeniu chorób. Jego wywody o możliwości użycia podtlenku azotu jako środka znieczulającego przy zabiegach chirurgicznych nie znalazły jednak zrozumienia wśród ówczesnych lekarzy.

Kiedy pewien chirurg wystąpił w 1828 r. z odczytem o możliwości wdychania gazu, został wyśmiany przez paryską akademię medyczną. Niemniej „gaz rozweselający" stał się popularny.

Głośna i komentowana szeroko przez prasę była demonstracja w jednym z małych miasteczek w Stanach Zjednoczonych w 1844 r., kiedy ochotniczy obiekt eksperymentu oświadczył, że nie czuje bólu.

Wśród widzów tej demonstracji był młody dentysta Wells, który wypróbował następnie działanie podtlenku azotu na sobie samym, wyrywając zupełnie bez bólu ząb trzonowy. Kiedy jednak Wells próbował przed studentami demonstracji, nie powiodło mu się, gdyż użył za mało gazu i znieczulenie nie nastąpiło. Niepowodzenie podziałało tak na Wellsa, że popełnił samobójstwo.

Na jakiś czas „gaz rozweselający" poszedł w zapomnienie i wrócono do niego dopiero w 1860 r., kiedy zbadano jego właściwości i stwierdzono, że należy go mieszać z tlenem.

W 1880 r. rosyjski ginekolog Klikowicz, po raz pierwszy użył go dla zmniejszenia bólów porodowych. Poza tym używano go również przy operacjach, które nie wymagały pełnej narkozy. Odkrycie znieczulających właściwości podtlenku azotu nie rozwiązało zatem zagadnienia środka potrzebnego przy chirurgicznych zabiegach.

Rozwój chirurgii tymczasem wymagał znalezienia podobnego środka. Wprawdzie wielki lekarz francuski Velpeau w 1839 roku powiedział: „Dokonanie operacji bez bólu — to chimera. Im prędzej od niej się odżegnamy ,tym lepiej". Operacje w tamtym czasie odbywały się bez żadnych znieczuleń, co w wypadkach skomplikowanych powodowało często śmierć.

Lekarze nie ustawali jednak w poszukiwaniach za środkiem znieczulającym. Takim środkiem, który pozwalał na osiągnięcie pełnego znieczulenia, okazał się eter.

Właściwość wywoływania przez eter snu znana była jeszcze w 1540 roku, Paracelsusowi. Wdychanie eteru stosowano również w XVIII stuleciu dla zmniejszenia bólu przy pewnych chorobach. Wielki chemik Faraday opisywał w 1818 r. 30-godzinną narkozę osiągniętą przy użyciu eteru u zdrowego człowieka.

Jednakże dłuższe, niż przy podtlenku azotu, działanie eteru uważali lekarze za niepożądane. Często oglądali wypadki zatrucia eterem i byli zdania, że użycie go w takich ilościach, powoduje utratę świadomości, nieczułości na bóle i jest niebezpieczne dla życia.

Pierwszy raz eteru jako środka dla narkozy użył amerykański lekarz Long w 1842 r. Long, który używał eteru 8 razy, nie opublikował jednak swoich obserwacji. Niebawem eter stosować zaczął również bostoński dentysta Morton, który był przedtem asystentem Wellsa. Morton chciał w dalszym ciągu przeprowadzać doświadczenia Wellsa z podtlenkiem azotu. Profesor chemii Jackson poradził mu jednak, wypróbowawszy działanie na sobie, aby używał, jako środka znieczulającego eteru. Morton zatem zaczął wypróbowywać działanie eteru na samym sobie, na swym psie, potem w laborato-

rium na kotach, ptakach i szczurach. Wreszcie w 1846 roku z całkowicie zadowalającym wynikiem wyciągnął ząb choremu, uśpionemu eterem.

Teraz Morton zwrócił się do profesora chirurgii Warrena, aby ten wypróbował eter przy zabiegach chirurgicznych. W obecności licznych chirurgów i studentów dokonał Warren eksperymentu. Chociaż narkoza nie była dostatecznie pełna, operacja udała się nadzwyczajnie i co było niemniej ważne, bezboleśnie. Teraz już Warren przeprowadzał operacje przy całkowitej narkozie.

Eteru zaczęto używać jako środka dla narkozy w Europie jeszcze w tym samym 1846 roku. Pierwszymi, którzy wypróbowali jego nadzwyczajne działanie byli — Rosjanin Pirogow i Francuz Roux. Pirogow również pierwszy po 50 dokonanych operacjach zastosował eter jako środek znieczulający na wielką skalę, przy operowaniu rannych żołnierzy. Doświadczenia te otworzyły przed chirurgią nową erę.

Poszukiwania szły jednak w innym jeszcze kierunku. Oto 8 marca 1847 r. fizjolog Flourence przedstawił paryskiej akademii nauk wyniki obserwacji nad działaniem chloroformu. Fluorence wykazał, że narkotyzujące i znieczulające działanie tego środka jest szybsze, niż działanie eteru.

Zadecydował jednak o przyszłości chloroformu szkocki ginekolog Simpson, który użył go w 50 wypadkach. W sprawozdaniu przedstawionym towarzystwu medyczno-chirurgicznemu w Edynburgu wykazał, że działanie chloroformu jest szybsze i narkoza wywołana przezeń jest pełniejsza. Simpson w 1848 r. z powodzeniem zastosował wdychanie chloroformu u królowej angielskiej podczas porodu.

Ten sposób nazwany sposobem „à la reine", był, jak się potem okazało, bardzo niebezpieczny i dzisiaj się go już nie stosuje. Powodzenie pozwoliło jednak Simpsonowi zwyciężyć przeciwników narkozy, wśród których szczególną zaciekłością odznaczali się duchowni.

Od tej pory datuje się kariera chloroformu. Zaczyna on wszędzie wypierać eter, aż stopniowo nagromadziło się dostatecznie wiele obserwacyj i doświadczeń, które lekarzom i farmakologom pozwoliły wyznaczyć każdemu z nich jego właściwe miejsce.

Sto lat oddziela nas od momentu pierwszego zastosowania narkozy przy chirurgicznym zabiegu. Przez tych sto lat chirurgia postąpiła bardziej naprzód, niż przez wszystkie poprzednie stulecia. Udoskonaliła się również technika stosowania narkozy i jeżeli przedtem narkozę stosowano tylko przy krótkich zabiegach chirurgicznych, to obecnie stosuje się ją również przy skomplikowanych i długotrwałych operacjach.

Chirurgia nie mogła jednak zadowalać się tymi osiągnięciami

w znieczulaniu. Szerokie zastosowanie znajduje dzisiaj znieczulenie miejscowe.

W ciągu ostatnich 25 lat dokonano wiele odkryć środków znieczulających, stosowanych już nie sposobem inhalacyjnym, lecz injekcyjnym.

Mimo to jednak odkryte przed 100 laty eter i chloroform nie straciły i dzisiaj swojego znaczenia.

„Connecticutt Magazine".

* * *

,,Nie lubię pieniędzy, ale one uspokajają moje nerwy. *(Bing Crosby)*.

— - —

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE!

wybór anegdot z czasopism międzynarodowych

Mąż o żonie: ,,Kiedy moja cierpliwość się kończy — jej się dopiero zaczyna".

* * *

Mr. Brown napisał w Ameryce najkrótszą recenzję teatralną świata: ,,Zaczęło się bardzo punktualnie o 7.30 i skończyło się bardzo nudno o 10-tej".

* * *

Różnica pomiędzy starym i młodym lowelasem:
Stary — patrzy z sentymentem na to co przeszło
Młody — na to co obok niego przechodzi...

* * *

Fragment sprawozdania z recitalu fortepianowego: ,,Miss Smith nie jest pozbawiona talentu muzycznego: gra najłatwiejsze utwory z największą trudnością".

* * *

Irlandczycy między sobą:
Denis: ,,Coś okropnego! Słyszałeś? Ostatniej nocy zatonął okręt. Zginęło 122 Anglików — i jeden Irlandczyk.
Sean: Straszne! Niech Bóg czuwa nad j e g o duszą!

* * *

Bigamia: kiedy mężczyzna poślubia piękną dziewczynę i dobrą kucharkę.

Poczucie wyższości: kiedy jedziesz pociągiem pośpiesznym który mija pociąg osobowy.

* * *

Optymizm (z autentycznego ogłoszenia w ,,Times'ie"): ,,Dyrektor banku niedawno wypuszczony z więzienia — poszukuje zajęcia".

* * *

Doktór: „Choroba pana nie jest niebezpieczna. Tylko 3 pacjentów na 100 umiera".

Pacjent: „Dobrze, dobrze. Ale czy tych trzech już umarło?".

* * *

Pewna pani z najlepszego londyńskiego towarzystwa zapytuje w czasie kolacji sławnego pisarza Bernarda Shaw: „Na ile lat ja wyglądam?".

Bernard Shaw: „Zęby — na 12 lat, usta na 14, ręce na 16, cera na 20 (po chwili). A teraz niech pani sobie zliczy to wszystko razem!

* * *

Jeden z lekarzy w Hollywood zostaje wezwany telefonicznie przez znanego ciągle piszącego autora filmowego. Wypadek nagły: mały synek pisarza połknął wieczne pióro ojca.

Doktór: „Będę za 10 minut. A co pan będzie robił w międzyczasie?".

Autor: „Dam sobie jakoś radę. Na razie używam ołówka".

* * *

Były szeregowiec armii amerykańskiej organizuje duże przedsiębiorstwo budowlane. Ogłasza.

„Kilka wolnych posad. Poszukuję najchętniej: 1) byłego pułkownika o typowych wojskowych manierach człowieka burkliwego, nieprzystępnego i bezwzględnego. Zatrudnię go w charakterze windziarza. Drzwi otwierane z pozycji siedzącej. 2) b. majora obeznanego z obsługą odkurzacza, 3) kilku byłych podporuczników w charakterze chłopców do posyłek, którzy nie podlegają kompetencji windziarza. 4) Kilku byłych szeregowych, których zatrudnię na wysokich stanowiskach w generalnej dyrekcji".

* * *

Generał lotnictwa amerykańskiego Ira Eaker wizytuje w Waszyngtonie obóz żołnierzy amerykańskich przybyłych z kontynentu. Jeden z nich korzystając z okazji zgłasza się z prośbą o powrotne przeniesienie go ze Stanów do Europy. Generał wyraża zdziwienie.

Żołnierz: „Ja wiem, sir, że to pozornie nie ma sensu, ale jest jedna ważna przyczyna".

Generał: „Jaka?".

Żołnierz: „Tam chaos jest znacznie lepiej zorganizowany aniżeli tutaj".

* * *

Autentyczne zdarzenie na meczu bokserskim „Louis - Conn" w Ameryce: w pierwszych rzędach, na specjalnie zarezerwowanych przez Barucha miejscach, zasiedli członkowie komisji atomowej UNO. Kiedy Louis znokautował Conna, Baruch powiedział do Gromyki i Evatta: „Oto finał. Kiedy sędzia da znak ręką — walka jest skończona".

Gromyko: Jakto? Jego decyzja jest ostateczna?

Evatt: Tak jest. I nie ma mowy o veto!

WYCINANKI

RZECZYWISTOŚĆ PRZEŚCIGA PROROCTWA NA TEMAT PRZYSZŁOŚCI. Oto w 1846 r. w pewnym teatrzyku paryskim wystawiano rewię „Dziś i za sto lat". Przepowiadano wówczas cały szereg wynalazków i zmian, nad którymi współcześni kiwali głowami z uśmiechem politowania. Cóż przepowiadano? — Kamienne bruki uliczne będą zastąpione drewnianą posadzką. Kobiety wyemancypują się do tego stopnia, że będą zajmowały stanowiska dostępne przedtem jedynie dla mężczyzn. Europa będzie połączona linią kolejową z Chinami i kolej będzie pokrywała wielkie trasy w kilka godzin. Na ulicach miasta toczyć się będą „wozy bez koni". W powietrzu będą śmigać maszyny latające. Wreszcie największy paradoks w tamtych czasach: Francja będzie w przyjaznych stosunkach z Anglią.

ZASADA KARABINU MASZYNOWEGO ZNANA BYŁA W XVII STULECIU. Wynalazcą tej szybko strzelającej broni był wcale nie zawodowy wojak, lecz prawnik. W czasie próby tego wynalazku, odbywającej się podczas deszczu, strzelba Pucklego oddała w ciągu 7 minut 63 strzały. Mimo entuzjazmu prawnika, który od razu chciał stworzyć spółkę akcyjną do eksploatacji swego wynalazku, projekt jego nie znalazł poparcia. Wojacy woleli swoje skałkowe muszkiety.

W STAROŻYTNOŚCI LEKARZY NAZYWANO KAPŁANAMI ESKALUPA. Pochodziło to stąd, że starożytni Grecy jak i Rzymianie posiadali wśród swoich nezliczonych bóstw również boga, który chronił przed chorobami. Bogiem tym był właśnie Eskulap. Wyobrażano go sobie zawsze ze żmiją i z czarą lekarstw, które to symbole oglądamy jeszcze dzisiaj na godłach aptek. Jeszcze przed paru dziesiątkami lat lekarze nazywani byli po prostu ekalupami.

ZAWÓD DRUCIARZA POWSTAŁ W XVIII STULECIU. Początek dał mu pewien Normandczyk, który umocowywał części stłuczonego fajansu lub porcelany za pomocą strun. Nowy zawód spotkał się u gospodyń z uznaniem i w ten sposób druciarze zaczęli się rozpowszechniać, rekrutując się przeważnie spośród wędrownych rzemieślników. Fabrykanci, których druciarstwo narażało na poważne straty, chcieli zniszczyć nowy zawód i wszczęli nawet przeciw druciarzom szereg procesów. Nie zahamowało to jednak rozwoju druciarstwa, które dopiero w naszych czasach staje się coraz rzadszym rzemiosłem.

NAZWA LOWELASA POCHODZI Z XVIII WIEKU. Sławny angielski powieściopisarz Samuel Richardson w dziele „Klaryssa Harlow, czyli historia młodej lady", przedstawił los młodej dziewczyny, która padła ofiarą uwodziciela imieniem Lowelas. Popularność tej powieści przyczyniła się do rozpowszechnienia miana Lowelasa.

JEDWABNE POŃCZOCHY, KTÓRE TEJ ZIMY BĘDĄ NOSIŁY ANGIELKI, NAZWANE ZOSTAŁY PRZEZ PRZEMYŚLNYCH I OBROTNYCH HANDLOWCÓW „MAC ARTURKI". Pończochy te bowiem będą robione z jedwabiu, który, Mac Artur zezwolił zakupić fabrykantom angielskim w Japonii, skąd — jak wiadomo — nic nie może wyjść bez zgody generała...

TWÓRCĄ WODEWILU BYŁ TKACZ FRANCUSKI OLIVER BASSELIN. Ten tkacz, żyjący w XV wieku, tworzył wesołe piosenki, śpiewane później przez całą ludność okolicznej Vau-de Vire (w Normandii). Niebawem nazwa Vau-de Vire przemieniła się na Vau-de Ville (wodewil) i oznaczano nią żartobliwe ludowe piosenki miłosne. Od XVIII wieku piosenki te zaczęły wchodzić do repertuaru teatrów jarmarcznych, których przedstawienia nazywały się komediami z wodewilami, a później po prostu wodewilami.

PIERWSZY PROJEKT ONZ POWSTAŁ JESZCZE W 1623 ROKU. Autorem jego był zapomniany dzisiaj pisarz francuski Emeric de la Croix, który wydał dzieło p.t. ,,Traktat o środkach i sposobach utrwalenia ogólnego pokoju". W celu osiągnięcia trwałego pokoju autor proponował, co następuje: ,,Aby nieporozumienia między szefami państw nie były przyczyną ciągle nowych wojen, było by konieczne wybrać miasto, w którym wszyscy panujący mieliby swoich ambasadorów, aby różnice zdań mogły być rozpatrywane przez ogólne zgromadzenie". Emeric de la Croix proponował jako miejsce tego stałego kongresu Wenecję. Widzimy z tego, że idea zorganizowanej pracy narodów nurtowała ludzkość od dawna.

KARZEŁ KRÓLA LESZCZYŃSKIEGO BYŁ NAJMNIEJSZYM CZŁOWIEKIEM NA ŚWIECIE. Urodził się on we Francji w połowie XVIII stulecia z rodziców normalnych. Do chrztu, w czasie którego Leszczyński pełnił rolę ojca chrzestnego, przyniesiono go na talerzu, długość jego ciała wynosiła bowiem 24 centymetry. Leszczyński był najtroskliwszym opiekunem tego najmniejszego człowieka na świecie. Mimo to Bebé dożył tylko do 22 roku życia.

W MEKSYKU ROŚNIE KWIAT, KTÓRY ZMIENIA KOLOR KILKA RAZY DZIENNIE. Biały rano, różowieje w miarę podnoszenia się słońca, aby stać się jaskrawo czerwonym w południe, następnie przechodzi stopniowo we fiolet, a wieczorem jest zupełnie granatowy, by w ciągu nocy przemienić się znowu w biały. Meksykanie nazywają ten kwiat ,,biało-niebiesko-czerwony". Rośnie on na drzewach podobnych do gujawy i wydaje zapach tylko wtedy, gdy ma kolor jaskrawo czerwony. Kwiat ten spełnia w ogrodach rolę zegara.

OPIERAJĄC SIĘ NA BADANIACH KONTROLOWANYCH, STWIERDZONO, ŻE CZŁOWIEK MOŻE ŻYĆ BEZ JEDZENIA DO 30 DNI. Według danych niekontrolowanych, może człowiek podobno wyżyć około 50 — 70 dni. Psy żyją bez jedzenia 90 — 100 dni, tracąc przy tym połowę ciężaru swego ciała. Oczywiście przy głodówkach muszą być podawane pewne ilości wody, bez których życie skończyłoby się znacznie prędzej.

NAZWA ,,WUJ SAM", KTÓRĄ OKREŚLA SIĘ STANY ZJEDNOCZONE, MA CIEKAWE POCHODZENIE. W czasie wojny między Anglią a Stanami Zjednoczonymi żołnierze amerykańscy otrzymywali żywność w skrzynkach, oznaczonych literami U. S., będącymi skrótami od United States. Ponieważ szefem zaopatrzenia był Samuel Wilson, znany powszechnie pod mianem wuja Sama, i ponieważ inicjały Uncle Sam były takie same jak United States, przeto żołnierze, widząc skrzynki z napisem U. S., żartowali, że Uncle Sam przysłał żywność. Nazwa ta rozpowszechniła się i używana jest do dzisiaj na oznaczenie żartobliwe Stanów Zjednoczonych.

PRZEGLĄD POLSKI

Założeniem zasadniczym ,,Przeglądu Polskiego" jest dostarczenie czytelnikowi ścisłej informacji z zakresu niezależnej polityki polskiej, wiadomości z Kraju, życia emigracji, polityki międzynarodowej. Pismo pojęte jest jako pewnego rodzaju bieżąca encyklopedia zdarzeń politycznych, ujęta ze względu na wymagania publikacyjne w formę czasopisma miesięcznego. Do tych celów dostosowana jest forma zewnętrzna pisma, jego niewielki rozmiar oraz sposoby szybkiego odszukiwania informacyj, przejrzysty podział na działy oraz okresowe indeksy.

Każdy numer ,,Przeglądu Polskiego" przynosi następujące działy:

Zagadnienia i perspektywy, Polska Dnia Dzisiejszego, Przeglądy, Dokumenty.

Niezależnie od tego ,,Przegląd Polski" przynosi w każdym numerze następujące działy: ,,Fakty i komentarze", ,,Symptomy", ,,Cyfry", ,,W kulisach polityki", ,,Bibliografia kisążek polskich i o Polsce", ,,Korespondencja".

Każdy numer ,,Przeglądu Polskiego" obejmuje 80 stron druku i cztery strony okładki.

Rozprowadzanie pisma oparte jest przede wszystkim na prenumeracie, a nie na sprzedaży pojedyńczych numerów. Numer pojedyńczy w sprzedaży kosztuje 5 szylingów, w prenumeracie rocznej 3 szylingi.

Adres administracji: Contemporary Life and Culture Ltd., 104, Holland Rd., London W. 14.

OSTATNI NUMER

,,Wiadomości Nauczycielskich" Rok III, Nr. 1 — 3, Organ Nauczycielstwa Polskiego w Wielkiej Brytanii zawiera artykuły:

Od Redakcji

Drogi współpracy *dr Mieczysław Giergielewicz*

Rozważania pozjazdowe *dr Jan Dąbrowski*

Z uchwał Walnego Zjazdu Zrzeszenia

Kształcenie zawodowe na uchodźtwie *mgr Tadeusz Wojciechowski*

Eksperyment i demokracja *dr Jan Konopnicki*

Władze szkolne i nauczycielstwo w W. Brytanii *dr Franciszek Bartkowiak*

Życie oświatowe w francuskiej Afryce Zachodniej *Stanisław Siemieniuch*

Filmowe kluby dziecięce w Anglii *Józef Jan Szostak*

Sprawozdania z książek *dr Mieczysław Giergielewicz, Maksymilian Gomoliński i dr Józef Jasnowski*

Redakcja: 74, Cornwall Gardens, London, S.W.7, Tel. WEStern: 1300

Redaktor: *Mgr. Wiktor Budzyński.*

Prenumerata półroczna 4/6.

Wydawca: *Erroll Publishing Co., Ltd.*

WYDAWNICTWA WŁASNE :

SŁOWNIK SAMOCHODOWY ANG.-POLSKI i POLSKO-ANGIELSKI. Cena 4/6.

ARYTMETYKA I GEOMETRIA na 6 kl. Szkoły Powsz. Cena 5/6.

GEOMETRIA — Jan Zydler — na II kl. Szkoły Średniej. Cena 3/6.

NAUKA ANGIELSKIEGO A. F. w 2 częściach. 30.000 sprzedanych egzemplarzy mówią same za siebie. Obie części tego najłatwiejszego i taniego podręcznika zawierają 50 lekcji i uczą 100 napotrzebniejszych słów, podanych z wymową. Łatwe ćwiczenia, możliwe do stosowania w codziennej rozmowie. Cena za obie części 5/-.

W DRUKU :

Album I. Dywizji Pancernej.
Na wojennej Lwowskiej Fali.
Algebra na III kl. Szk. Średniej.
Szkice węglem — H. Sienkiewicza.

NA SKŁADZIE :

Świetny podręcznik samochodowy p.t. „OBSŁUGA I NAPRAWA SAMOCHODU“, A. Judge — 358 str. Cena 15/-.

Published by Erroll Publishing Co. Ltd., 40 Bruntsfield Pl., Edinburgh.
Printed by William McLellan & Co. Ltd., 240 Hope St., Glasgow, C.2.